

# Prolog

*...Tchórz wiele razy umiera, nim umrze;  
Człowiek waleczny kona tylko raz.  
Ze wszystkich dziwów, o jakich słyszałem  
Najbardziej zawsze zdumiewał mnie jeden:  
Że ludzie boją się śmierci, choć wiedzą,  
Iż nadejść musi i prędzej czy później  
Nadejdzie...*

William Shakespeare – „Juliusz Cezar”  
[przekład S. Barańczak – akt II, scena 2]

Każdy swoją przygodę ze śmiercią rozpoczyna w inny sposób. Są tacy, których ręka przeznaczenia, nie zwracając uwagi na staż, czas i miejsce, bez skrupułów rzuca na najbardziej kręte ścieżki życia. Już na starcie, zaraz po sygnale do biegu, wpadają na wystający z ziemi płotek. Płotek, którego poprzeczką najczęściej są przyjaciele. Na pozór służą nam, pomagają, radzą, są solidnymi deskami, po których stąpamy każdego dnia. Jednak za wszystko przyjdzie z czasem zapłacić. Raz mniej, raz więcej, zwykle jednak z nawiązką.

Płotkiem może stać się kupiony przez wujka szczeniak, budzący nas rano przed pójściem do przedszkola i dający przykład, że budzik może być skuteczny i jednocześnie nie musi psuć nam humoru na resztę dnia. Drewnianą poprzeczką może być kot, którego sąsiad uratował przed uśpieniem i oddał nam w prezencie. Kot, którego indywidualność i oryginalność ratuje niejedno nudne rodzinne spotkanie. Ociosaną kłodą, rzuconą bezwładnie pod nasze nogi, może być złota rybka usilnie starająca się spełnić przynajmniej jedno nasze życzenie. To może być chomik, świnka morska, papuga – nasz pierwszy prawdziwy przyjaciel od serca. Przyjaciel, który na złość pewnego ciepłego poranka, zamiast przywitać nas wesołym mruknięciem, ginie pod pędzącym samochodem, daje się zabić okolicznym chuliganom albo przejeżdża się na śmierć. Wtedy z twardej ostoji, podpory, poręczy zapewniającej wsparcie wyrasta z niego kłoda. Czasami jest na tyle mała, iż mimo to, że pojawiła się nagle i niespodziewanie na naszej drodze, udaje nam się ją przeskoczyć. Ze szczerym uśmiechem na twarzy, wspominając starą ostoję, szukamy nowej lepszej, stabilniejszej. Bywa też tak, że potkniemy się o naszą przeszkodę, zdzierając skórę z łokci i kolan. Gil cieknie nam z nosa, łzy napływają do oczu. Chwilę zajmuje, zanim odważymy się postawić kolejny krok w naszej podróży w nieznaną. Podróż, u której schyłku najprawdopodobniej my staniemy się dla kogoś poprzeczką nie do przeskoczenia.

Niektórzy mają przyjemność spotkać śmierć w złym humorze. Wtedy, gdy przypomni sobie, że nie ma serca, a z dziury po nim wylewa się

niewzruszone pragnienie zabicia wszystkich ludzkich uczuć i emocji. Śmierć, niczym szalony konstruktor, stawia przed nami ścianę nie do przeskoczenia. Bezsensowną ścianę z betonu na środku nowo wybudowanej autostrady. Rozbijamy o nią nasz krążownik szos, tracąc koła, kierownicę, chłodnicę i silnik. Leżąc u mechanika i czekając na cud, kiedy ktoś nas naprawi, stawiamy sobie pytania bez odpowiedzi: Dlaczego nie wyhamowałem? Po co stawiać mur na środku drogi? Czemu on miał zginąć? Czemu musiałeś zabrać mamę?

Śmierć, dumna z osiągniętego celu, bezsensownego pokazu siły i władzy, panoszy się w życiu zdruzgotanych nieszczęśników, którzy stracili najbliższych. Ucząc ich, że nic już nie będzie takie samo, że powietrze będzie pachnieć gorzej, kawa będzie bardziej gorzka, a biel nie będzie już śnieżnobiała, co najwyżej brudnoszara.

Nasz pierwszy kontakt ze śmiercią nie musi jednak zawsze boleć przez całe życie. Czasami zostajemy pominięci, niezauważeni, zbyt przeciętni i nieznaczący, żeby się nami zainteresowała. Czarna dama nie ma ochoty wpisywać nas na swoją listę priorytetów do załatwienia i rzuca nam ochłapy. Śmierdzące ochłapy w formie pogrzebu dalekiej ciotki. Kobiety, o której istnieniu dowiedzieliśmy się przed paroma dniami. Ciotki kojarzącej się z mijającą erą starych czasów, dawnych zwyczajów, niemodnych ubrań i niepopularnych słów. Ciotki, której wcale nam nie szkoda.

Na naszej drodze nie pojawia się wtedy żadna kłoda, co najwyżej billboard ze zdjęciem na czarno ubranych dorosłych ludzi płaczących nad pudełkiem zbitym z mahoniowych desek. Zdjęcie rzuca nam na usta uśmiech pogardy i wybuchlibyśmy śmiechem, gdyby nie zaciśnięta, spięta ręka znerwicowanej matki na naszym nadgarstku. Można by powiedzieć, że ponury żniwiarz postawił na naszej drodze znak ostrzegawczy mówiący o licznych zakrętach. Jednak w tym wszystkim nie powiedział nam, do jakiej prędkości powinniśmy zwolnić, żeby w przyszłości nie rozbić się o ogromną, trudną do obejścia, ścianę z cegieł.

Czasy, w których przyszło mi żyć, czasy komputerów, telefonów komórkowych, czasy rozwiązłości seksualnej, lekarstw na prawie każdą chorobę, czasy możliwości, wielkich szans, czasy niezdrowego jedzenia i zrównania orgazmu z sensem życia znalazły swój własny przepis na obejście problemu istnienia śmierci. Zostajemy zapisani na kurs jazdy, gdzie uczymy się omijać przeszkody, gdzie uczymy się je rozpoznawać. Gdzie na początek wirtualnie, niczym piloci przed wejściem do prawdziwego samolotu, zasiadamy do symulatora śmierci, potocznie zwanego „dobrym filmem w nudny czwartkowy wieczór”.

Dobry film, czego doświadczymy po niekrótkim czasie, gdzieś po dziesięciu latach, okazuje się nic niewartą szmirą, jednak spełnia on swoje zadanie – dawkuje nam śmierć, zsuwając z niej pelerynę tabu. Pakując ją w kroplówkę i wpinając ją nam podpiętą pod nieistotną cienką żyłkę. Dobry film przybiera często twarz Sylwestra Stallone z opaską na czole, strzelającego z łuku do małych żółtych ludzików w lesie. Dobry film może przybrać twarz Arnolda Schwarzeneggera rozrywającego anonimowych strażników. Dobry film może przybierać różne twarze, w sumie to nieistotne jakie – czy bez zębów, czy z zębem – ważne, aby samochody wybuchały, broń nie nadążała ostygnąć, a dobro zatriumfowało, przyciągając do siebie nieprzyzwoicie piękne dziewczyny o długich nogach. Po tak zaaplikowanej śmierci w formie tabletek powlekanych łatwych do przełknięcia, nabieramy dystansu do umierania i znieczulenia na cierpienie. Jesteśmy przygotowani do zderzenia się ze ścianą, a przynajmniej tak nam się wydaje.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy po raz pierwszy spotkałem się ze śmiercią. Wydaje mi się, że była obecna w moim życiu odkąd pamiętam. Możliwe, że po raz pierwszy mrowiła moją skórę, gdy patrzyłem na pajaka patyczaka rzucającego się na nieświadomą zagrożenia muchę. Może podczas pierwszego razu drapała mnie za uchem, gdy stawałem niepewnie kroki, przechodząc obok ogromnej bramy miejskiego cmentarza. Jedno wiem na pewno, mówiła do mnie. Przypominała mi o sobie prostą tęsknotą połączoną z lękiem za tym, że mogę stracić

bliskich, którzy mnie otaczają. Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego odczuwam jej cierpki zapach na swoim ramieniu, ale uczyłem się z nim żyć. Zdarzenie po zdarzeniu, billboard po billboardzie, z szacunkiem i odrobiną strachu nauczyłem się ich nie zauważać.

Świat wbrew pozorom nie składa się z rzeczy, ale z wyrazów. Otaczają nas krótkie i stanowcze jednosylabowe obiekty. Zwykle, używane przez nas najchętniej dwu- i trzysylabowe, jak i te długie, na których łamiemy sobie język – pięcio- i sześciosylabowe słowa. Bez przerwy, nieustannie powstają nowe. Bliskoznaczne, synonimy, wyjątkowe i przeciętne, odkrywczcze i zabawne tworzą ramy tego świata. Bez nich nie istnieje mowa. A kim byłby człowiek bez zdolności przekazywania myśli swojej matce czy ojcu? Kim bylibyśmy, jeśli nie zwierzętami nieumiejącymi zapytać się o drogę powrotną do domu? Ile byłaby warta wiedza o rozpaleniu ognia, jeśli nie umielibyśmy się nią podzielić z kolejnymi pokoleniami? Nie byłaby warta nic więcej niż plony, których nie umiemy zebrać, krowa, której nie potrafimy wydoić, prawa natury, jakich nie umiemy nazwać. Bez słów bylibyśmy niczym więcej, jak prochem i popiołem pomiatanym przez bogów po stepach pustyni i wyludnionych puszczech.

Dlatego też na początku było Słowo. Nie myśl, nie chęć, nie pragnienie, ale słowo. Wszystkie przedmioty tego świata nie istniałyby, gdyby ich nie opowiedziano. Dopóki, więc nie nazwiesz swojego strachu lub choroby, można z dużą dozą pewności powiedzieć, że jesteś nieustraszony i zdrowy. Na mnie w końcu też przyszedł czas, aby nazwać śmierć po imieniu, a miało to miejsce, gdy ojciec odprowadzał mnie do szkoły podstawowej.

– Tato, co jest po śmierci? – zapytałem.

Ojciec był zdziwiony, ze względu na mój młody wiek, ale spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił „Eh, dzieciaku, też przez to przechodziłem, daj sobie z tym spokój i ciesz się chwilą”. Schował do kieszeni obrotowy breloczek, którym lubił bawić się w wolnych chwilach.

– Opowiem ci historię. Był kiedyś pewien filozof, który całe swoje życie poświęcił na to, aby odkryć, co jest po śmierci. Gdy już umarł,

to całe swoje życie po śmierci poświęcił na to, aby odkryć jak wygląda życie. Nie odkryjesz, co jest po śmierci, to niemożliwe.

Nie wchodziłem w dyskusję, ale przyznam, że poczułem się trochę zawiedziony. Jak świat – ten wielki świat, w którym jeżdżą samochody, w którym woda leci z kranu, może przechodzić obojętnie obok tak ważnego pytania? Wydawało mi się, że życie bez odpowiedzi na to pytanie będzie bardzo ciężkie i wyściełane lękiem o przyszłość.

W wieku dwudziestu lat, po burzliwym okresie dojrzewania, w który działa się tak dużo, że trudno byłoby to wszystko spisać – doznałem olśnienia. Dziwne, że olśnienia przychodzą w momentach najmniej odpowiednich. Chyba najbardziej prawdopodobne jest, że ludzie doznają olśnienia w chwili, gdy wyskoczą z okna. Nie skakałem i nie żałuję, ale znając złośliwość świata pewnie tak właśnie jest. Nieśmiało stawiasz stopę do niewidzialnej powietrznej windy i lecisz napędzany przyspieszeniem ziemskim do stacji zwanej chodnikiem. Całe życie przelatuje ci przed oczami. Zdajesz sobie sprawę, że twoja żona była nic niewartą idiotką, że długi można odrobić i spłacić, że dzieci można przeprosić, i plujesz sobie w brodę, że wybrałeś najwyższy blok w mieście – na tyle wysoki, że wzięło cię na przemyślenia, konkluzje i rozważania w trakcie lotu. Gdyby taki potencjalny samobójca wszedł parę pięter wyżej, to pewnie w głowie, podczas lotu, pojawiłyby mu się zwyczajne numery totka.

Moje olśnienie było mniej spektakularne i niestety oplakane w skutkach. Doznałem go, patrząc za okno, podczas nauki do, znienawidzonej przez studentów, jesiennej sesji egzaminacyjnej. Sesji, która skutecznie zwalcza wszystkie pozytywne skutki letniego odpoczynku. Błogosławiony stan nappełnił mnie wiedzą. Na moje nieszczęście nie na temat, na którym zależało profesorom uczelni wyższej, dlatego nie pożegnałem się z jej murami tak szybko, jakbym sobie tego życzył.

Myśl, która pojawiła mi się w głowie była jasna i klarowna – „Wszystko, co nas otacza jest proste i logiczne”. Wszystko ma swój opisany sens. Wszystko dąży przed siebie w jasno określonym kierunku, jak para

wodna ze szklanki z gorącą herbatą lecąca do nieba, kierowana nadprzyrodzonym kompasem tylko po to, by spaść na twój nos w formie przejrzystej kropli deszczu. Zrozumiałem, że skoro śmierć ma zaistnieć, skoro ma mieć miejsce w ludzkim słowniku, to egzystencja po śmierci, jakakolwiek by ona była, musi być równie prosta i logiczna jak życie, jak liście spadające z drzew za kołnierz twojej kurtki, gdy idziesz na spacer z psem.

Nie jestem w stanie odgadnąć, kto wypowiedział pierwsze słowo i jak tego dokonał. Może słowa były szeptane od zawsze, ale wydaje mi się, że gdybyśmy mieli możliwość zajrzeć za kurtynę życia, którą szczelnie strzeże przed nami jego kuzynka śmierć to krzyknęlibyśmy: „że też na to nie wpadłem, przecież to oczywiste jak to, że po nocy jest dzień, jak to, że po zimie jest wiosna, jak to, że po pracy jest sen”. Śmierć nie pozwoli nam zajrzeć za kulisy życia, więc pozostanie nam wydawać okrzyki zachwytu w mniej przyjaznych okolicznościach, zaraz po tym, jak miejscowy wariat wbije nam nóż w serce, jak kula od kałasznikowa przesyje naszą skroń lub zaraz po tym, jak roztrzaskamy się o bruk przed swoim dziesięciopiętrowym blokiem.

Jadąc zatłoczonym warszawskim tramwajem wiosennego ciepłego popołudnia, podsłuchałem rozmowę dwóch specyficznych profesorów. Mieli co najmniej po sześćdziesiąt lat i twarze, które wyglądały tak jakby przeżyły dwieście. Wyglądali jak Flip i Flap. Niby kompletnie inni, a jednak ulepieni z tej samej gliny. Gdyby ludzie byli lepieni z ziemi, ci byliby okazami ze skały lub przynajmniej z czarnoziemiu. Dwaj panowie z klasą i szykiem pamiętającym czasy upadku ludzkiej godności.

– Wiesz, Flap, zajmuję się teraz pisaniem pracy naukowej na temat rozwoju komórek rakowych w ludzkim organizmie.

– Ależ Flipie, przecież ty wykładasz mechanikę – odpowiedział zdziwiony.

– Wszystko jest ze sobą powiązane. Komórki rakowe rozprzestrzeniają się w ludzkim organizmie w analogiczny sposób do rozrostu



miast – powiedział Flip, gestykułując w podnieceniu, tak jakby wypowiadał najważniejszą kwestię w sztuce, która niedługo dobiegnie końca.

– Czyli ogólnie pojęta urbanizacja – zawtórował mu Flap.

– Dokładnie, jeżeli tę analogię się przebadają, można będzie zrozumieć, w jaki sposób rozprzestrzenia się rak w organizmie.

– Niewiarygodne – oczy Flapa zablęskły z niedowierzania.

– A jakie proste. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to ma wspólnego z mechaniką.

Ja też nie byłem w stanie sobie tego wyobrazić. Mechanika była dla mnie kartą nieznaną, której wcale nie chciałem odkrywać. Była dla mnie i jest nieistotną blotką pośród wszystkich innych nauk. Jednak zrozumiałem wtedy jedno. Po śmierci coś jest, to nienazwane, nie-dopowiedziane coś na nas czeka i nas wygląda i pewnie świat, który tam znajdziemy niewiele się różni od tego codziennego ziemskiego. Kilkadziesiąt lat później, gdy już zapomniałem, goniony codziennym życiem, o istnieniu śmierci, przekonałem się o tym, że wiele się nie myliłem, z tą różnicą, że czeka tam na nas nie świat, ale miejsce...



# Rozdział 1

Poznajmy się

## Wiersz 1

*Dostałem list Kochanie,  
Niezdarnie napisany na kolanie  
Szukałem w nim między słowami odpowiedzi i faktów  
Przecież nie to, co napisane  
Jest najcenniejszą zagadką  
List ma prostą rytmikę  
Jedna pauza, dwa na dwa  
Symetryczny, z pozoru prosty  
Zostawia męczące pytanie  
O Twój nastrój ubranie i włosy  
O pogodę za oknem  
O psa  
Krzywe koślawe wyrazy  
Kreślą tło sytuacji  
Chłodne, niepewne, nerwowe  
Ze szczyptą soli  
I innej ostrej przyprawy  
Czytam go ciągle od nowa  
Choć wiesz, że tego nie znoszę  
Gdy zamiast skłamać to twardo piszesz  
Ulotną treść – „odejdz proszę”*

[A.S. Anonim – Miesięcznik „Analogia” – Styczeń]

*...Żeby zrozumieć istotę pewnych rzeczy należy spojrzeć na nie z perspektywy. Poznanie początku i zakończeń wielu ludzkich historii dało mi prawo do wypowiedzania odważnych i dla tych czasów obrazoburczych wniosków. Mianowicie – Bóg istnieje, a przynajmniej istniał w chwili tworzenia świata. Nie znajdziemy w świecie nierozumnej siły, która posiadałaby poczucie humoru. A jak inaczej wytłumaczyć, jeśli nie poczuciem humoru fakt, że to, co czeka nas po śmierci, jest nam często bliższe niż samo ziemskie życie. Jak wytłumaczyć fakt, że śmierć oferuje nam sny, pełne wizji, wspomnień, marzeń i koszmarów, sny, jakich przecież codziennie doświadczamy po położeniu się do łóżka? Tylko boski bystry umysł byłby w stanie, tworząc człowieka, zawrzeć w nim żart, dowcip, paradoks, zatopić w nim paniczny strach przed śmiercią, przekonać go, że nie jest w stanie jej zrozumieć, a jednocześnie faszzerować go nią każdej nocy...*

[Fragment z cyklu „Podróże małe i duże” K. P. M. H.]

\*\*\*

**Z**gubiłeś gdzieś kaptcie. Stary, poobdzierany portfel wypchany nie znaczącymi wizytówkami grubych prezesów i chudych przedstawicieli handlowych przestał kurczowo naciskać cię na pośladek. Portfel musiałeś zgubić także, łącznie z mokrym od potu podkoszulkiem. Poczułeś się nagle lekki, wyzwolony, nagi, wręcz przezroczysty, tak jakby nie tylko z ubrań, ale z samej skóry i kości obdarła cię jakaś nieznaną energią, obnażając światu twoje wystraszone wnętrze. Twój urzędniczy umysł nie był w stanie pojąć i ogarnąć stanu, w jakim się znalazł. Może i znalazłbyś coś pozytywnego w nieziemskim poczuciu wolności, gdyby nie ciemność – ktoś zgasił światło. Potężny magik poruszył ziemię i niebo, i przysłonił słońce wielką ciemną peleryną. Było tak ciemno, że przeszedł cię paniczny strach, że to nie słońce zgasło, ale że to ty sam straciłeś wzrok. Postarałeś się przetrzeć oczy, jednak nic nie poczułeś, tak jakby twoje ręce zniknęły sparaliżowane w ciem-

ności. Prawie odszedłeś od zmysłów, bałeś się, że jakieś straszne wydarzenie mogło doprowadzić do tego, że twój rdzeń kręgowy przerwał się tu i tam, zatracając na zawsze czucie w twoich tłustych nogach, uniemożliwiając ci składanie tak długo ćwiczonych nieczytelnych podpisów na biurowych dokumentach. Prawie nie zwariowałeś na myśl, że nigdy więcej nie będziesz mógł zaimponować znajomym, jak zręcznie otwierasz butelkę piwa o ławkę, zapalniczkę albo cokolwiek sobie zechcą. Popadłbyś w obłąd, ale poczułeś silny ból – doznanie, którego nie mają prawa czuć ludzie sparaliżowani. Poczujesz pieczenie w nogach, rwanie w brzuchu, poczułeś drapanie na plecach. Ból był tak silny, że aż nieprawdopodobny, a towarzyszyło mu silne pulsowanie w głowie, zupełnie jakbyś dostał w głowę od Przysadzistego Franka w trakcie kłótni w barze. To jednak nie było wszystko, umysł wypełniały ci głosy – „Zadzwońcie po karetkę!”, „Proszę się obudzić!”, „On nie oddycha, czy ktoś tu umie, do cholery, robić reanimację?”, „Ja go nie dotknę, jest cały we krwi!”, „Ten człowiek umiera!”, „Jakub? Jakub!”. Głosy niepokoiły cię bardziej niż ból, chociaż brzmiały one delikatnie i cicho niczym szepety, przez co wydały ci się odległe i nierealne. Ból w brzuchu i nodze stopniowo mijał, zapominałeś o nim, nie umiałeś jedynie się wyzbyć pulsowania w głowie i gdy już zacząłeś się przyzwyczajać do sytuacji, poczułeś coś dziwnego, poczułeś silny pęd, który pchał cię w jeszcze ciemniejszą ciemność, jeżeli istnieje coś bardziej mrocznego niż czerni, to właśnie było TO, a ty zacząłeś zmierzać w jego kierunku. Nagi, wystraszony, nie umiałeś opanować swoich myśli. Wydawało ci się, że toniesz, że opadasz na dno ogromnego mrocznego oceanu.

Pierwsze wrażenia, jakich doświadczałeś w swoim ziemskim życiu, zawsze były w jakiś sposób spotęgowane przez sam fakt tego, że były nowe. Nigdy nie uważałeś, żeby było w tym coś dziwnego. Gdy wyciągnąłeś swój dziecięcy palec, by zamoczyć go w masie tortu czekoladowego, który upiekła twoja babcia na, bodajże czwarte, urodziny, ślina wypełniła twoją buzię po brzegi, a kubeczki smakowe na języku wariowały, niecierpliwie oczekując pierwszego wrażenia posmakowa-

nia słodkości idealnej. Gdy kilkadziesiąt lat później żona dostała bilety na występ w operze, pomimo to, że wzbraniałeś się przed wyjściem tak mocno, jakby od tego miało zależeć twoje życie, to gdy już założyłeś zakurzony garnitur i dojechałeś na miejsce, to twoje uszy z utęsknieniem wyczekiwały pierwszych dźwięków mających dobiec ze sceny, chłonąc tym samym pierwsze wrażenie nowo odwiedzonego miejsca.

Pierwsze wrażenie jest silniejsze, pierwsze wrażenie jest wyjątkowe i niestety, pierwsze wrażenie jest często przesadzone. Po wielu latach ciągania się z życiem za fraki, gdy babcia ponownie zaprosiła cię na tort czekoladowy, mógłbyś dać sobie rękę uciąć, że albo pomyliła przepisy, albo postępujący alzheimer zapomniał o składniku „CUD”, bo tort smakował tanio i pospolicie. Gdy obejrzałeś w telewizji występ primadonny, wytrzymałeś raptem dziesięć minut i nie mogłeś pojąć, czym się tak zachwycałeś, jak poparzony, kilka tygodni wcześniej. Wstyd ci się zrobiło, że wychwalałeś spektakl przed swoimi znajomymi z pracy. Podobnie zresztą było z innymi pierwszymi wrażeniami, jakie wywiodły cię w życiu na manowce. Druga kawa okazała się słodko-gorzka cieczą pozostawiającą osad na twoich zębach, raz odwiedzony las stał się nudnym zbiorowiskiem drzew, przegrywając tym samym konkurs na spędzenie rodzinnego weekendu z kolorową konsolą do gier, a praca już po tygodniu okazała się nudna i monotonna. Po odpowiednim czasie, który pozwolił ci spojrzeć z dystansem na życie, okazywało się, że pierwsze wrażenie świetnie się zaprezentowało i dlatego kupiłeś je z ochotą i z pocałowaniem dłoni, a w rzeczywistości dostałeś ślamazarnego kota w worku. Dostałeś przereklamowaną pustą bańkę.

Pomimo to, że człowiek jest istotą złożoną głównie z krwi i kości, to składa się też z pamięci. Pamięć kształtuje to, jak postrzegamy świat, nakreśla ona to, jak rozumiemy pierwsze wrażenia. To, co pamiętamy w niezwykle sposób rzutuje na to, jak opisujemy świat, ten stary, znany na pamięć i ten nowy, jeszcze niepoznany, jak postrzegamy naszą przeszłość i jak doświadczamy pierwszych wrażeń. Dzięki już poznanym wspomnieniom zwykle porównujemy nowe odczucia z tym, co już

znamy. Pierwszą gorycz piwa zestawiamy z nieprzyjemnym smakiem leków, słodki smak ciastek porównujemy z cukierkami, a adrenalinę skoku na spadochronie z długim orgazmem. Wszystkie nowe wrażenia zestawiamy z tymi odległymi, dawno poznanymi w przeszłości.

Nie inaczej było tym razem, z tą różnicą, że teraz nie wiedziałeś, czego się spodziewać. Z racji tego, że sytuacja była nowa i nietypowa, a ty zupełnie nad nią nie panowałaś – do czego w życiu nie przywykłaś, bo starałaś się tak ułożyć swoje życie, by nie tylko panować nad nim w całości, to jeszcze w wolnym czasie porządkowałaś życie innych. Biorąc pod uwagę fakt, że okoliczności były dla ciebie obce, całe wydarzenie nabrało charakteru pierwszego, pierwotnego wrażenia i odczuwałaś je ze zdwojoną siłą, a każdy szczegół, obraz i dźwięk, miałeś zapamiętać do samego końca. Pamięć podsunęła ci kilka obrazków do wyboru, by lepiej zrozumieć twoje położenie. Wybrałaś wodę – ciemną, brunatną wodę. Po chwili spanikowany uwierzyłaś w to, że toniesz, że opadasz na dno. Próbowaleś machnąć ręką, na nic to się nie zdało, nogą szukałaś dna, jednak nic nie znalazłaś. Spotęgowane pierwsze wrażenie doprowadziło twoją urzędniczą psychikę na krawędź szaleństwa. Postarałaś się przypomnieć sobie wszystkie rady i instrukcje ratowników wodnych i jedyne, co przyszło ci do głowy to były w kółko powtarzane słowa, jakie w tej chwili przeleciały ci przed oczami wytłuszczone grubą czcionką: „Jak ugrzęźnicie w bagnie, na litość boską, nie szarpicie się, bo skończycie marnie”. I tak chwyciłaś się, niczym tonący brzytwy przeplatującego napisu i postarałaś się oddychać spokojnie i uspokoić myśli.

Głowa nieustannie pulsowała, wymazując z pamięci, co mniej potrzebne wspomnienia. Już doszczętnie zdążyła wymazać uczucie bólu, przykryła grubą pierzyną niekomfortowe szepty, uspokoiła twoje pędzące ciało i zaczęła podsuwać ci przed oczy obrazy z twojego życia. Niektóre zdjęcia przedstawiały młodego Kubusia wpatrującego się z podziwem w wielkie bezgwiezdne nocne niebo, inna fotografia przedstawiała trochę starszego młodzieńca, który posmarował klejem krzesło kolegi na lekcji matematyki, zdjęcia nie wiązały się ze sobą, nie



były ułożone w żaden sensowny sposób. Patrzyłeś na wszystkie zszokowany, po pierwsze nie wierząc, że przedstawiały fragmenty twojego życia, po drugie nie mogąc uwierzyć, że te momenty były gdzieś w tobie schowane i tylko czekały, by dać o sobie znać. Miłe i dziwne, dawno przeżyte wspomnienia zakłócił wreszcie lęk. Strach przed tym, co się z tobą dzieje. Wtedy właśnie moc pierwszego wrażenia ukazała swoją mroczną stronę. Poruszyła ona twoją otumanioną wyobraźnię, by ta postarała się jeszcze raz wyraźniej, racjonalnie wyjaśnić sytuację, w jakiej się znajdowałeś. Nie radząc sobie ze zrozumieniem paranormalnego uczucia spadania, twój umysł zwolnił fantazję ze smyczy i pod rozkazem instynktu samozachowawczego nakazał szybko wyjaśnić wszystko, co niezrozumiałe, obce i nowe. Tak i pamięć podrzuciła ci przed oczy obraz wielkiego jeziora. Przeszedł cię dreszcz strachu. Starąłeś się odwrócić głowę, jednak jezioro ciągnęło cię do siebie. Zobaczyłeś chłopca na łódce. Wydałeś zdławiony krzyk, bojąc się, że obraz jeziora wyciągnie coś więcej, coś, co starałeś się zapomnieć.

Każda woda kryje potwora, każda ciemność chowa tajemnicę i wszystkie dzieci wiedzą o tym doskonale. Każdy ma też swoje wspomnienie, o którym nie chce pamiętać, które chce zetrzeć białą gumką z fałd mózgu. Czas zwykle nie pozwala na wykonanie egzekucji, by do szczętnie pozbyć się doświadczenia z pamięci – zakopuje wspomnienia pod stertą śmieci, dając im co najwyżej dożywocie. Raz zamknięte niechciane odczucia wychodzą po jakimś czasie na wolność za dobre sprawowanie i jak na złość wypuszczają je w najgorszym dla nas momencie. Im więcej staramy się ich zakopać, tym częściej powracają do nas rykoszetem. W chwili, gdy jak nigdy w życiu potrzebowałeś zaczerpnąć powietrza i doznać odrobiny wytchnienia, twój spanikowany umysł odkopał specjalnie dla ciebie dawno zapomniane wytarte wspomnienie z kolekcji znajdującej się w kiczowatym muzeum przeznaczonym do zamknięcia...

– Widzisz, jaka spokojna woda, synku? Niech cię to nie zwiedzie, pod nami toczy się życie, którego człowiek nawet w połowie nie po-

znał. Możemy płynąć naszą łódką przez to jezioro, ale gdybyśmy byli tu niemile widziani – upomniałoby się o nas. – Ojciec spojrział na syna, udając powagę, pomagał mu w tym trzymany w ustach tłący się papieros marki Camel.

– Co to znaczy upomni się? – zapytał chłopiec.

– To znaczy, że jak nie będziesz szanować jeziora i będziesz wrzucać śmieci do wody, to naszą łódkę wywróci wielki potwór z Loch Ness – uśmiechnął się serdecznie tata.

– Dobrze, że nie mamy śmieci w łódce, potwór nie będzie nas o nic podejrzewać.

– Widzisz, jaka ryba – ojciec wskazał kręgi na wodzie, machając papierosem – musi ważyć dobre dziesięć kilogramów. Bądźmy cichutko i podpłynijmy bliżej, może zobaczymy ją dokładniej.

– Może lepiej nie, jeśli to potwór z Loch Ness, tato?!

Wizja szybko się rozmyła, nie zdradzając swojego zakończenia i znowu pochłonęła cię wszechobecna ciemność. Mrok był nieprzenikniony, nie miał kresu, nie miał granicy.

Wybór, jakiego dokonał twój wystraszony umysł nie był do końca trafiony. Nie można mieć mu jednak tego za złe, przecież tylko geniusz potrafi dobrać odpowiednie słowo do opisanego całkiem nowego zjawiska już przy pierwszym podejściu. Do geniuszu przez całe twoje życie było ci daleko, co więcej, nigdy o niego się nie otarłeś, może dlatego, że nigdy do niego nie dążyłeś. Tak jak wybitnie nie znałeś się na ludziach, tak twoje młodzieńcze zamiłowanie do taniej, mało ambitnej literatury zaowocowało w szaleńczym pędzie czymś jeszcze – zaskakującym ostrzeżeniem: *Jakubie, nie idź w kierunku światła!* Myśl, która w perspektywie czasu wydawała się całkiem zabawna, wtedy miała rangę śmiertelnie poważnej. Z wielkim oddaniem rozejrzałeś się za światłem w tunelu. Pędząc w ciemności, skupiłeś całe swoje siły na odnalezieniu chociażby promyka, żeby, broń Boże, nie lecieć w jego kierunku. Po światelku jednak nie było śladu i cała energia, jaką włożyłeś w starania znalezienia go w gąszczu ciemności poszła na marne. Tłumaczy-

leś to sobie tym, że zapewne musiałeś je przegapić, tak jak umykały ci różne ważne chwile w twoim ziemskim życiu. Wyjaśniałeś to sobie, że światełko pewnie istniało i świeciło tak silnie, że wypaliło ci oczy na tyle, że straciłeś wzrok. Zanim zrozumiałeś istotę położenia, w którym się znalazłeś, próbowałeś uzasadniać wiele rzeczy i dość często robiłeś to nieporadnie. Nie straciłeś wzroku, nie straciłeś słuchu ani czucia, one zostały ci bezpowrotnie odebrane z racji samego miejsca twojego przebywania, z racji stanu, w jakim się znalazłeś.

Nigdy nie miałeś agorafobii ani nawet nie znałeś nikogo z tą przypadłością, ale trafiając do tego mrocznego miejsca zrozumiałeś, że bezgraniczne przestworza mogą, a nawet powinny budzić przynajmniej cień lęku. Poczułeś, że niemożliwe do objęcia wzrokiem przestrzenie są jak potężny żywioł, od którego chcemy uciec jak najszybciej i jednocześnie patrzeć na niego jak najdłużej. Żywioł na tyle straszny, że zapiera dech w piersi i na tyle piękny, że wart jest zatrzymania się na moment w celu zrobienia mu zdjęcia za cenę życia. Zrozumiałeś, że dużym nietaktem było naśmiewanie się z ludzi starających się ująć niezwykłość pędzącej w ich kierunku trąby powietrznej. Za życia tego nie rozumiałeś, pędząc w ciemnej nicości już jednak wiedziałeś, że trąba i tak nas dogoni, powódź zaleje nas brudną falą, trzęsienie ziemi przygniecie nas spadającym sufitem, a mrok otoczy nas z każdej strony, jeżeli tylko żywioły tego zechcą, my natomiast nie będziemy mieć na to żadnego wpływu, jedyne, co nam pozostanie, to wspomnienie ich piękna.

Ponownie odczułeś przytłumione uderzenie – Przysadzisty Franek poprawił to, czego nie zakończył i znowu poczułeś jak toniesz. Tyle pozostało ci do zapamiętania. Poszedłeś na dno. Szybko. Zbyt szybko. Bez tchu. Nie sposób było się poruszyć. Nie sposób było się zatrzymać. Tak jak wtedy, gdy zjeżdżałeś przerażony z wysokiej stromej wodnej zjeżdżalni. Na końcu tej rury nie będzie tym razem stała żona z aparatem fotograficznym. Na końcu nie będą czekać na ciebie wesołe dzieci śmiejące się z twojej przerażonej miny. Nie będzie końca zjeżdżalni

i nie oprzesz swojego wraku na dnie, bo się nie zatrzymasz. Przynajmniej tak ci się wtedy wydawało, że to nie jest możliwe.

Utraciłeś kontakt z rzeczywistością, tracąc poczucie kierunku i gubiąc się w rozwirowanym chaosie, w jakim się tak nagle znalazłeś. Umysł nie zniósł natłoku stresu, przed jakim został postawiony. Uciekł do najświeższego wspomnienia, jakiego nie zdążyłeś jeszcze doszczętnie zakopać. Odpłynął do wizji, tej żywej, ludzkiej, jeszcze cieplej.

\*\*\*

– Panie Jakubie, mogę umówić jutro pana na rozmowę z nowym asystentem?

Postać kobiety w średnim wieku, wraz z całym biurowym otoczeniem, roztoczyły się przed tobą nagle, tak jak to zwykle bywa w snach. Pojawiły się znikąd, a ty nic sobie z tego nie robiąc przyjąłeś je i resztę sennego wspomnienia całkowicie naturalnie, stawiając je na równi z rzeczywistością, która przeminęła na zawsze.

Krągła blondynka o mądrych niebieskich oczach z wadą wzroku minus dwie i pół dioptrii, co było jej błogosławieństwem i przekleństwem zarazem, czekała cierpliwie na twoją odpowiedź. Przekleństwem, bo okulary z czerwonym stelażem nieustannie próbowały zsunąć się z powierzchni jej nosa, co nie ułatwiało jej oczekiwania. Błogosławieństwem, bo dodało to jej uroku i seksapilu, upodabniając ją do gwiazd kina lat sześćdziesiątych, co również nie powodowało, że jakiegokolwiek czekanie kiedykolwiek mogło sprawiać jej większą radość. Kobieta patrzyła na ciebie wymownie, jakby zdawała sobie sprawę z faktu, że jest jedynie jedną z twoich nietrwałych ulotnych myśli.

– Jak go wepchniesz pomiędzy dziesiątą a południem może dam radę – odpowiedziałeś.

Całkowicie mechanicznie poprawiłeś zdecydowanie zbyt ciasny kołnierz koszuli. W myślach policzyłeś guziki – osiem. Wszyscy mamy swoje oryginalne właściwości, swoje własne niepowtarzalne konfiguracje, które opisują nas komórka po komórce, tkanka po tkance. Wszyscy

mamy swoją osobistą specyficzną nerwicę natręctw. Nie odróżniając się w tym od innych znanych ci ludzi, dość długo musiałeś pielęgnować swoje dziwactwa, zanim stały się naprawdę uciążliwe. Codziennie rano z przesadną starannością prasowałeś swoje ubranie do pracy, doprowadziło to jedynie do tego, że notorycznie się do niej spóźniałeś, a w twoje wytłumaczenia o korkach na ulicach opustoszałego miasta, kierownictwo dawno przestało wierzyć. Niby niewinne i nieszkodliwe każdorazowe parkowanie samochodu zaraz przy drzwiach wejściowych biura, poskutkowało po jakimś czasie przyzwyczajeniem do miejsca i irytującym rozgoryczeniem, kiedy było przypadkowo zajęte przez kogoś innego. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, to nowe udziwnienia – przeliczanie guzików koszuli czy też białych pasów tworzących przejścia dla pieszych, były najmniej inwazyjnym natręctwem, jakie cię w życiu opanowało, po pierwsze nikt o tym nie wiedział, po drugie i ostatnie, w porównaniu do żony, która umiała godzinami wycierać zakurzoną porcelaną w kredensie, twoje natręctwo marnowało raptem kilka minut dziennie.

– Ostatnio mam mało czasu na wykończenie wszystkich swoich papierkowych spraw. Żebyś widziała, jakie pudła znieśli mi rano. Trzy metry sześciennie świstków do przejrzenia – rzuciłeś, odsuwając myśli od małżonki, ale nie odrywając głowy od analizowanego sprawozdania.

– Niech się pan nie przemęcza, panie Jakubie. Umówię was na jedenastą, zaraz po śniadaniu. Proszę dać chłopakowi szansę, to podobno syn sprzątaczkii. Kawkę? – zapytała.

– Tej sprzątaczkii? – zdziwiłeś się. – Tak, poproszę, dzisiaj bez mleka. Zaszalejemy.

Szaleństwa mają swoją cenę, byleby nie za wysoką. Kawa bez mleka należy do tych najlepszych rozrywek – podnosi ciśnienie, daje długotrwały efekt i nie kosztuje ani złotówki. Kołnierz koszuli trochę ograniczał szal, jednak jego zmiana nie byłaby taka prosta. Kołnierz miał zaledwie dwa tygodnie i trzy dni, a był użyty jedynie dwa razy. Pozostawał więc objęty okresem ochronnym przez przynajmniej pół roku.

Kolejne sześć miesięcy, kiedy wybierzesz się z żoną po zakup nowej koszuli. Poza tym, w kolejce na liście zakupów sterczały i straszyły od dawna nowe buty, spodnie i mop do czyszczenia podłóg. To dopiero będzie spięte szaleństwo wydawania. Istny taniec wariatów pomiędzy półkami sklepów. Połamane *Danse macabre*. Tak właśnie zawsze postrzegałeś weekendowe rodzinne zakupy, jako zło konieczne, które wysysa pieniądze z twojego konta i rozbija spokój, jaki gromadziłeś w sobie przez cały tydzień. Gdybyś umiał zapewnić swojej małżonce jakąkolwiek inną rozrywkę, z pewnością pożegnałbyś się ze sklepowymi wystawami bez uronienia łzy. Nie potrafiłeś tego jednak zrobić, może dlatego, że tak naprawdę cały swój czas miałeś zaprzątnięty swoimi problemami, a może dlatego, że zakupy pomimo swojej finansowej destrukcji nie kosztowały aż tak drogo. Niejednokrotnie próbowałeś wypełnić swój związek romantyzmem. Zabrałeś żonę kilka razy do kina, ale zaprzestałeś tych prób, gdy zostawiłeś w kasie prawie całą swoją dniówkę. Wszystko kręciło się wokół pieniędzy, nic nie było za darmo – przynajmniej w twoim mniemaniu.

– Ta marynarka źle leży, chyba muszę kupić nową – burknął do siebie, jak się okazało zbyt głośno, by nie doleciało to do uszu stojącej obok niezwyklej asystentki.

– Nie miał pan jej kupić w zeszły weekend, panie Jakubie? – zapytała.

„Mam nadzieję, że nie archiwizuje tych informacji w swoich stalowych sejfach, obok wszystkich innych, niemożliwych do spamiętania dla przeciętnego organizmu ludzkiego, rzeczy! Zresztą to nieistotne, nieważne, jak białe szumy telefonów komórkowych niedające się wyłapać, a co dopiero nagrać i wykorzystać” – pomyślałeś, przypominając sobie artykuł o nowinkach telekomunikacyjnych i innych mało istotnych rzeczach, który przeczytałeś kilka miesięcy temu, a zdążyłeś o nim opowiedzieć wszystkim swoim znajomym przynajmniej dwa razy, wcale nie z tego powodu, że zawarte w nim informacje były odkrywcze, albo w jakikolwiek sposób dla ciebie ważne, ale chyba dlatego, że chciałeś im się pochwalić, że coś przeczytałeś.

Teraz najważniejszy jest szal. Wszakże praca powinna dawać nam radość i aplikować przynajmniej głodowe ilości spełnienia. Zatańczmy w pracy taniec-połamaniec przy kawie i w zbyt ciasnej koszuli.

– Wiesz, jak mam mało czasu, Alicjo... – odpowiedział z wyraźnym opóźnieniem.

Pomieszczenie wypełniała aura monotonnej niewolniczej pracy za śmiesznie nędzne pieniądze. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu. Każda z nich trzymała procę i bez żadnego ostrzeżenia była gotowa wystrzelić alergen prosto w twoje nozdrza, czekając z tym do tej jednej najmniej spodziewanej chwili, gdy będziesz składał podpis na wynikach swojej miesięcznej pracy.

– Bądź gotowy na atak kaszlu, mój drogi – odezwał się ostrzegawczy głos w twojej głowie. – Bądź gotowy na kaszlową szorstką intonację w swoim urzędniczym *Danse macabre*.

W lewej części pokoju stała idealna Alicja, w jednej ręce trzymała kubek małej czarnej na spodku. W prawej zaś, delikatnie podtrzymywała kolejną teczkę dokumentów. Miała wszystkie cechy typowej sekretarki. Jak na razie wypróbowałeś tylko tę najpopularniejszą, opijałeś się hektolitrami zaparzonej przez nią kawy. Test z pozostałych cech zaburowałeś gdzieś daleko w odległej przyszłości, poza tym nie przychodziło ci do głowy, co więcej można wymagać od asystentki poza kawą i tym, żeby po prostu była asystentką.

– Kawa, panie Jakubie. Bez mleka. – Położyła kubek na stole, cudownie uśmiechając się i upodabniając się tym samym do Mony Lisy na płótnie Leonarda.

Patrzyłeś na nią zza tomów swoich papierów i nie mogłeś nadziwić się, jak pięknie i abstrakcyjnie wygląda radosna, ubrana w szarą garsonkę i wysokie obcasy pośród ścian twojego zapuszczonego biura. Brak czasu – to było twoje ulubione wytłumaczenie na wszystko, na bałagan w biurze, na niepozmywane naczynia, na tygodniowy zarost, na to, że nie potrafiłeś się zebrać, żeby podziękować jej za kawę, lub znaleźć chwilę intymności, by wyznać coś gorącego swojej żonie. Po-

mimo to, że czasu miałeś w bród, to szczerze, z całego serca wierzyłeś, że ciągle jest go za mało i nieustannie dręczyła cię myśl, że kiedyś miałeś go o wiele więcej.

Czas w twojej młodości zataczał swoje koło, lekceważąc dobre rady i zalecenia matki natury. Dwa tyknięcia do przodu, jedno tyknięcie w tył. Dwa do przodu, jedno w tył. Wyczekiwałeś z utęsknieniem pierwszej osobistej żyletki, pierwszego papierosa, pierwszego dnia w szkole, tracąc nieświadomie ten cenny surowiec, którego ciągle ubywało. Czułeś, że przyjdzie pora, by ukłonić się Praojcu, opiekunowi czasu i zebrać od niego chłostę za czcze wyczekiwanie, chłostę, która po biczowaniu pozostawi siwe włosy i zwiotczały brzuch.

Czas w twoim życiu odgrywał drugą najważniejszą rolę zaraz za pieniędzmi. Nie było tak zawsze, kiedyś byłeś inny, może trochę mniej zaroiński, pewnie bardziej uśmiechnięty, z pewnością nie tak sfrustrowany jak w tamtej chwili. Nie dość, że ludzie sami się zmieniają, to zmieniają również swoje priorytety, tak też ty zapędziłeś się w pogoni za bogactwem. Zapomniałeś w tym pędzie wyznaczyć sobie bardzo dokładnie określony cel, skazując się tym samym na syzyfową pracę w nabijaniu cyfr na swoim bankowym koncie. Nie pamiętałeś również o rzeczach, jakie jeszcze niedawno były dla ciebie ważne. Największą jednak bolączką był fakt, że nie zapomniałeś o nich przypadkiem, ale celowo wymazałeś je z pamięci, jakbyś wstydził się przyznać przed sobą do miejsca, w jakim obecnie się znajdowałeś. Było to powodem, dla którego schowałeś rodzinne zdjęcie z wakacji w górach w szafce swojego biurka. Czyn, który można porównać z uczuciowym świętokradztwem, wyjaśniłeś sobie tym, że zdjęcie stało zakurzone, a ty nie miałeś ziarenka w swojej klepsydrze, żeby je wytrzeć i godnie zaprezentować światu. W obłamanej szufladzie schowałeś nie tylko papierowe kolorowe zdjęcie oprawione w ramkę, schowałeś w niej również tak potrzebną spontaniczność i marzenia, zmieniając się w zmęczonego życiem staruszka.

Twoje zaniedbane ciało podtrzymywały przy życiu, w biurowym tańcu, słodkie ciastka, które systematycznie podkradałeś z firmowych



zapasów i cudowny eliksir – ekscentryczna mieszanka kofeiny z sacharozą, której produkcję i idealne proporcje cukru do kawy i wody do mleka mogła znać jedynie asystentka – marzenie każdego urzędnika. Odziany w marynarkę i koszulę z wyprzedzący, z podniesionym ciśnieniem tętniczym, pełen zgryzoty tańczyłeś codzienne *Danse macabre* Liszta – prosząc na partnerkę długopis i pieczętkę na zmianę z klawiaturą komputera. Podpis, pieczętka, paragraf, podpis, pieczętka, paragraf, nota, opis, podpis, sprostowanie!

– Sprawdź pocztę, panie Jakubie!

Telefon, podpis, nota. Tańcz! Papiery poleciały z biurka, drwiąc z twojego pewnego urzędniczego chwytu, drwiąc z twojej poważnej miny poleciały pędzone siłą, która w rytm muzyki unosiła je i pozwalała jedynie lekko opaść, nie zezwalając spaść im jednak definitywnie na podłogę, gdzie mogłyby pozwolić ci odpocząć, dać się podnieść i ponownie położyć na biurku. Papiery uciekały przed twoim wyzywającym spojrzeniem i spoconymi, zmęczonymi prowadzeniem w tańcu, dłońmi. Podpis, nota, telefon. Wszystko było czasochłonne, upragnione sekundy zmieniały się w przewidywane minuty, by w rzeczywistości przyrodzić barwy godzin. Czas nieprzerwanie upływał.

– Panie Jakubie, zbliża się szesnasta. Zostaje pan dzisiaj dłużej w pracy? Nie wiem, czy zamykać okna, podobno ma być burza – ostrzegła cię blond asystentka.

– Nie, obiecałem żonie, że spędzę z nią trochę czasu. Przerzucę dwie teczki i uciekam – odpowiedziałeś mniej do niej, bardzo do siebie, nie odrywając wzroku od sprawozdania finansowego z pierwszego kwartału.

– Jutro na śniadanie przyniosę dla pana kanapki ze świeżym szczypiorkiem. Do widzenia i miłego dnia, panie Jakubie. Niech pan pamięta o jutrzejszym spotkaniu i proszę uważać na siebie – krzyknęła, otwierając aluminiowe drzwi.

– Słucham? – zapytałeś. – „Ile to było, dwieście trzydzieści tysięcy, czy trzysta dwadzieścia tysięcy?” – zaskoczony pytaniem prawie do-

puściłbyś się tragicznego w skutkach błędu w raporcie. – „To byłoby gorsze niż śmierć!”

– Spotkanie o jedenastej w sprawie nowego asystenta – powtórzyła.

– Ach tak, tak.

Po dwóch godzinach i trzydziestu czterech minutach stwierdziłeś, że na dzisiaj masz dość tańca na krzywym parkiecie zwanym potocznie pracą, podskakiwania na niewdzięcznej scenie, przy niemej „publiczności” teczek i segregatorów niemogących wysilić się nawet na najcichsze owacje za dobrze postawione kroki i wykonanie wielu biurokratycznych figur. Kalkulator i notes odstawiłeś do zapchanej szafki biurka. Wytarty zamek, wymyślony przez szwedzkiego projektanta, poruszony z trzaskiem przez podgięty klucz, zamknął szafkę i zakończył zabójczy koncert. *Danse macabre* przycichło, z czoła spadły ostatnie krople potu, mogłeś iść do domu. Opuszczając pokój, czułeś satysfakcję z dobrze wykonanej pracy, nieczęsto zdarzały się dni, kiedy wyjeżdżałeś do domu spełniony, tak jakbyś zamknął za sobą ważny etap w życiu – przygotowanie raportu dla przełożonego. Wychodząc do szatni, zatrzasnąłeś za sobą drzwi, które skrzypnęły lekko, a wisząca na nich tabliczka z napisem „mgr Jakub... Jakub urzędnik do spraw tego i tamtego, czyli wszystkich niepotrzebnych rzeczy” zastukała o matowe szkło.

Jeszcze tylko granatowa ortalionowa kurtka przypominająca o pozycji w regionalnej amatorskiej, słabo zarabiającej lidze tancerzy, jeszcze tylko czterdzieści trzy kroki prostą drogą, zakręt o niepełne dziewięćdziesiąt stopni w prawo, za bardzo wystający próg w drzwiach wyjściowych, o który uwielbiasz się potykać, cztery schodki i będziesz mógł dosięść swojego rumaka punto zalanego za równiutką stowę trzy dni wcześniej, w poniedziałek. Skalkulowałeś w myślach, że benzyny powinno wystarczyć jeszcze na około sto osiemdziesiąt kilometrów i byłeś gotów do jazdy.

Prawa, lewa, wydech i wdech – napełniłeś płuca powietrzem zawierającym całą tablicę Mendelejewa. Na zdrowie! Droga od samochodu

do wymarzonego domu nic się nie zmieniła. Nie spadł śnieg, nie musiałeś omijać zanieczyszczonej smogiem kałuży, bo nie padało, nie było śladów po niedzielnych osiedlowych imprezach przypominających bardziej stypy na pogrzebie Myśli i Fantazji niż roztańczone urodziny niepełnoletniej Wolności. Posprząтали we wtorek – prawie wszystko. Nienawidziłeś imprez i parapetówek, nie znosiłeś rodzinnych spotkań i schadzek znajomych, w tej kwestii byłeś bezkompromisowy i na tyle przeczulony, że doprowadzał cię do złości sam fakt patrzenia na to, jak inni się bawili, albo nawet spoglądania na pozostałości po zabawach, jakie po sobie zostawiali. Spotkałeś kiedyś człowieka, który starał się wyjaśnić ci, skąd się biorą tego typu zachowania. Nazwał cię skrajnym typem introwertyka i zaproponował rozmowę przy piwie, przy której miał ci wyjaśnić, jak sobie z tym radzić. Nie chciałeś sobie z tym radzić, bo nie stwarzało to dla ciebie problemu i pewnie byś z nim został, gdybyś najzwyczajniej lubił z ludźmi rozmawiać. Kiedyś byłeś inny, ale kiedyś już minęło.

Kolejne kroki poprowadziły cię dalej chodnikiem. Okolica, którą mijales, była tak niezmienna, że uznałeś, iż jak wdrożysz w istnienie plan budowy swojego garażu, to całe osiedle dostanie ataku serca od tak poważnych zmian lub będzie prowadzić pielgrzymki pod twój ma-lutki domek. Na razie dzielnica trwała wesoło zastygnięta w stagnacji. W drodze od parkingu do domu lubiłeś tylko to, że była krótka. Długie drogi niespecjalnie ci się podobały, bo zmuszały do niekontrolowanych przemyśleń na temat minionego dnia, miesiąca, życia. Ta dróżka, pomimo swojej krótkości również serwowała ci wysiłek umysłowy, jednak aplikowała ci go w małych dawkach. Można by stwierdzić, że codziennie byłeś aktorem w kolejnym kilkuminutowym odcinku długiego niekończącego się nudnego filozoficznego tasiemca. Może i ambitny temat na serial, ale jak to w przydługim serialu – wycinając z niego dwadzieścia odcinków nic nie tracisz i dalej możesz bez problemu połapać się w fabule. W niegórnołotnych wędrówkach po betonowych płytach brakowało ci czasu (czy to nie dziwne), na wyciągnięcie wniosków ze

swoich przemyśleń. Podsumowanie krótkich monologów zostawiałeś na później, a później zostawiałeś na kiedyś tam. Pytania takie jak: „Czego napiję się po ciężkim dniu pracy?”, „Kiedy dostanę upragniony awans?”, „Czy dwadzieścia tysięcy na koncie to powód do uważania się za osobę zamożną?”, „Kto dostaje pieniądze z moich podatków?” i banalne odpowiedzi nigdy nie doprowadziły cię do najprostszego, najbardziej budującego pytania „dlaczego?”. Nigdy nie sięgałeś do przyczyny, co najwyżej po szklankę burbonu. Nigdy nie zastanowiłeś się nad tym, dlaczego nie wybrałeś innej drogi? Piętnaście lat, pięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt pięć dni, z czego prawie trzy tysiące pięćset przepracowanych – wszystkie przeszedłeś po tych samych chodnikowych płytach. Zawsze jedna i ta sama. Ślepo wierny ciągle jedynej, dziurawej, zniszczonej, nieciekawej, nieobiecującej poprawy, ścieżce wdeptywałeś w nią swoje pięty, niczym wypuszczony z niewoli pies bojący się wychylić pysk za żelazne kraty otwartej bramy. Nigdy nie wybrałeś innej drogi i nie mogłeś wtedy wiedzieć, że za jakiś czas będziesz tego szczerze żałował.

Pamiętasz, o czym mówiła żona? Sąsiad zasadził bratki tej wiosny. Śmierzące bratki, do których zapachu trzeba dojrzeć jak do smaku oliwek w sałatce greckiej, jak do szklanki soku pomidorowego ze szczyptą soli i pieprzu, którego nie lubiłeś, a którym zachwycała się twoja druga połówka. Porzucając mało ważne rozmyślenia, skierowałeś tępe spojrzenie na zmęczone sterczeniem w miejscu szare drzwi zapraszające nieśmiało i niezgrabnie do równie strudzonego domu bez wykończonej elewacji.

– Jestem, twój tatuś wrócił! – krzyknąłeś radośnie.

Zastały cię osiemdziesiąt trzy metry kwadratowe podzielone naście lat temu na planie budowy pewnym ruchem twojej drżącej urzędniczej ręki na trzy pokoje, salon i kuchnię. Kiedyś miałeś w sobie energię, aby zaprojektować dom, prawie spełniłeś swoje marzenie, prawie, bo rzadko doprowadzałeś coś do końca. Pokoje, po długiej batalii z cyframi i przecinkami twojego bankowego konta, przypominającego bardziej

dziurawą skarpetę niż świnkę skarbonkę, zostały urządzone przez twoją małżonkę w stylu minimalistycznym. Salon wypełniony został oczekiwaniem, kuchnia od strony przyszłej jadalni pełna planów, zaś od strony lodówki zaśmiecona zamierzeniami i chęciami. Dom marzenie w całej okazałości i złościwości tego słowa.

Siedemnasta osiem – dom odezwał się pustką i nawet się z tego ucieszyłeś. Liczyłeś w duchu, że żona jednak nie wróci wcześniej z pracy, że dzieci zostaną na dodatkowe zajęcia w szkole, a ty nie będziesz musiał opuszczać swojego królestwa. Rzuciłeś okiem na, do połowy pustą, butelkę stojącą na nierealnie rzeczywistym stoliku. Był o tyle wyróżniający się, bo sprawiał wrażenie drogiego i ekskluzywnego pomiędzy innymi rzeczami pochodzącymi z odzysku. Wypełnione ognistym napojem szkło przyciągnęło cię na tyle, że wypełniłeś jego zawartością dno grubej szklanki. Zanim odłożyłeś butelkę z powrotem na blat, zatrzymałeś wzrok na jej opakowaniu. Tak jak każda inna butelka miała swoją etykietę. Została ona narysowana palcem angielskiego kreślarza. Przeleżała dość długo w ciemnej szufladzie, dojrzewając i adaptując się do wymogów otaczającego ją rynku snobów. Etykietka idealna. Etykietka, bez której jakże ważna zawartość traci swój sens. Etykietka zlewająca się z butelką niczym twarz Jerzego Waszyngtona zlane jest z papierem jednodolarówki. Wydawało ci się, że żadna inna twarz nie pasowałaby tak bardzo, ale jednocześnie wiedziałeś, że każda inna byłaby równie chętnie rozchwytywana. Ludzie także mieli swoje szablonowe etykiety i zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jaką plakietkę znajomi mogli przypiąć tobie. Wtedy wybierałeś pomiędzy tabliczką konsekwentnego perfekcjonisty a plakietką zdziwaczałego analityka.

Babcia mawiała: „Ożeń się, bo będziesz umierać w samotności jak twoja stara sędziwa ciotka”. „Szkoda, że nie dopowiedziała mi, co mam zrobić, jak już się ożenię” – powiedziałeś do siebie.

Posłuchałeś się staruszki. Nie, że ślepo jej wierzyłeś. Nie, że w istotny sposób zdecydowała o twojej decyzji. Reprezentowała ona jednak głos całego otoczenia, które lubiło doradzać ci w wielu różnych innych

kwestiach, które uwielbiało wywierać wpływ, podpowiadać, oceniać i krytykować. Nikogo jednak nie było, gdy naprawdę potrzebowałeś z kimś porozmawiać, nikogo nie było również, żeby ci potowarzyszyć, gdy zatapiałeś swoje szczęście w kryształowych szklankach. Właś w siebie dużą dawkę płynu, zakręciło ci się w głowie i usiadłeś w fotelu, wyrzucając z głowy obraz zdenerwowanej na ciebie, za twoją słabość do alkoholu, krzyczącej żony.

„Zawsze gada, ale dzisiaj nic nie powie” – rzuciłeś do siebie nerwowo.

Oddałeś się delectowaniu mocnym smakiem taniego whisky. Nie rozumiałeś, jak ludzie mogą mieszać ją z lodem, a co dopiero coca-cola, czysta smakowała najlepiej. Może gdybyś tego dnia zaraz po wejściu nie skierował wzroku na alkohol, to dalsze minuty potoczyłyby się inaczej. Może gdybyś pokonał swoją przewidywalność i zaszedł do kuchni odebrać cicho wibrujący telefon komórkowy, nie zalewał się czterdziestoprocentową mieszanką, zobaczyłbyś wiadomość od żony zostawioną przy bukietach kwiatów stojących na stole. Może gdybyś nie wpadł w wir codziennych przyzwyczajzeń, nie odurzyłbyś się alkoholem i nie zakłóciłbyś swojej i tak słabo rozwiniętej percepcji. A może nie.

„Bratki, sratki, róże” – parsknąłeś.

Zakurzony komputer skutecznie przywołał cię do siebie obietnicą zdradzenia kolejnej misternej internetowej tajemnicy. Siadając w fotelu zrzuciłeś z siebie urzędnicze ubranie i sięgnąłeś po czarną koszulkę. Pecet wydał ciche piśnięcie świadczące o tym, że jeszcze pozostaje przy życiu. Domowy blaszak ten sam od 6 lat. Zaufany powiernik, przyjaciel, który nigdy cię nie zdradził. Czasami chorował, ale przynajmniej nie pił, nie palił i miał na lewo podbitą gwarancję.

„Poczta – zobaczmy, co my tu dzisiaj mamy”.

Rytuał się rozpoczął. Na początek krótka pogawędka z blaszanym przyjacielem. Rozmowy o polityce, gospodarce, newsy z kraju i ze świata. Dobrzy koledzy nie przynudzają zbędnymi informacjami, mówią tylko o konkretach.

„Niemożliwe” – powiedziałeś wgapiając się w ekran.

„Co tam wyczytałeś, mój drogi? Co jest niemożliwe?” – odezwał się głos w twojej głowie.

Litery na ekranie rozmazały się w amoku informacji na tyle, że nie pozwoliły ci uwiecznić swojej treści. Wiele razy później starałeś się sobie je przypomnieć, odczytać i odszyfrować, jednak emocje tamtej chwili skutecznie je wymazały. Krótka i mocna salwa stuknięć w klawiaturę – rozkaz wydruku wysłany do drukarki atramentowej.

– Wykonać! – zaryczał komputer głośnym piśnięciem.

Z czoła spływała ci kropla potu, dając początek rzece wędrującej po policzku. Wstałeś gwałtownie od biurka, wywracając fotel na podłogę. Bez większego powodu, jak na złość, wazon kwiatów upadł ze stołu, rozsypując kłujące róże po podłodze. Kwiaty, których nie powinno tam być. Z pozoru mógł to spowodować jedynie wstrząs wywołany uderzającym o ziemię fotelem, jednak ty odczuwałeś to, jakby cały świat trzęsąc się wyraził swój sprzeciw. Sprzeciw wobec nagłej zmiany planów na dzisiejszy wieczór. Whisky wylało się ze szklanki na obudowę komputera, który elektrycznym piknięciem starał się ciebie powstrzymać i powiedzieć o wystąpieniu zagrożenia zwarcia w starych przerdzewiałych stykach. Ty jednak chwyciłeś kartkę wyplutą przez drukarkę, zwinąłeś ją w rulon i wybiegłeś z domu. Bez kurtki, bez płaszcza, w domowych kapciach i podkoszulku, nie zwracając uwagi na to, że miało padać.

– Będzie burza, za chwilę trzaśnie piorun, jak się nie odwrócisz w lewą stronę, idioto! Nie patrz w tę kartkę głąbie, odwróć się w lewo, potem w prawo, potem w lewo – przedszkole – przecież potrafisz!

Rozległ się w twoim ciele przerażony stłumiony głos, który potrząsnął całym osiedlem, wysadził w powietrze okoliczne hydranty, które zaczęły przyskać wodą, rozerwał na pół drzewa i powyginał je w kosmiczne kształty. Ty jednak nie mogłeś usłyszeć swojego własnego wołania zza niewidzialnej sennej bariery, nie mogłeś też zobaczyć jak świat bronił cię przed wejściem na jezdnię. Biegłeś wpatrzony w kartkę papieru, czerwieniejąc ze złości i wstydu. Biegłeś i... w powietrzu rozniósł się pisk opon, zgrzyt wyginanej blachy, krzyk

zgniatanych tkanek. Dźwięki, które miały cię prześladować do końca twojego czasu, dźwięki, w które długo nie chciałeś uwierzyć.

– Przepraszam, Alicjo.

\*\*\*

– Przepraszam, Alicjo... – twoje ostatnie słowa rozeszły się w przestrzeni.

Wyrwałeś się ze snu. Rozejrzałeś się wkoło i poczułeś rosnącą dezorientację. Poczułeś panikę, bo przed oczami ukazało ci się wielkie NIC. Otaczała cię ciemność i nic więcej, przynajmniej wtedy nic więcej nie widziałeś. Twoje myśli zaczęły coraz prędzej kłębić się w głowie, odniosłeś wrażenie, jakbyś doznał panicznej umysłowej zadyszki. Dojechałeś do końca zjeżdżalni. Stałeś w miejscu, nie odczuwałeś popychającej cię energii, nie odczuwałeś zupełnie nic, a to uczucie spowodowało, że zrobiło ci się strasznie zimno. Poczułeś się mały, nieistotny, niezauważony, nic niewart i zapomniany. Ludzki urzędniczy racjonalizm podsuwał ci w desperacji propozycje skorzystania z jednego z twoich zmysłów, które może i nieraz cię zawodziły, ale jednak służyły ci wiernie przez ponad czterdzieści lat. Próbowaleś więc patrzeć, słuchać, wąchać, ale nie dawało to żadnych rezultatów. Próbowaleś wszystkiego i gdy już miałeś się poddać, zrezygnować i zamknąć się w sobie, postanowiłeś zawalczyć i dojść do tego, co się z tobą stało.

Gdy odrobinę się uspokoiłeś, dostrzegłeś migawki z nocnego koszmaru, który przed chwilą miałeś możliwość oglądać. Zobaczyłeś swój zardzewiały samochód, ujrzałeś obłożone papierami biuro, dostrzegłeś wyraźniej stare pogniecione zdjęcie, które leżało na dnie szuflady. Na wspomnienie zdjęcia ogarnął cię smutek i tęsknota za rodziną. Zapragnąłeś z całych sił znaleźć się przy córeczce i ją przytulić. Zapragnąłeś pogłaskać syna po głowie lub pocałować swoją żonę. Jednak tak jak zdjęcie było zamknięte w szafce biurka przez dobry rok, tak ty byłeś zamknięty i zapomniany w ciemności. Poprzysiągłeś w myślach, że jak skończy się to całe zamieszanie, jak żartowniś, który cię w nie wplą-



tał wyjdzie zza mrocznej kurtyny i zdradzi sekret swojej diabelskiej sztuczki, to ty weźmiesz urlop w pracy, zabierzesz rodzinę na długie wakacje i zrobisz nowe, aktualne zdjęcie rodzinne.

Przed oczami przeleciała ci fotografia przedstawiająca wyjątkową asystentkę Alicję. Obraz starszej kobiety spowodował, że momentalnie otrząsnąłeś się ze smutnych depresyjnych wizji. Twój umysł zaczął pracować na wyższych obrotach. Zacząłeś dokładnie analizować ziemskie wspomnienie klatka po klatce, od samego początku starając się je obalić albo potwierdzić. Wizja, jakiej doznałeś, była wręcz namacalnie rzeczywista. Czuleś się, jakbyś był jej częścią i brał w niej udział, jednak coś się w niej nie zgadzało. Nie pasowało do niej zdjęcie kobiety w okularach, twojej mamy Alicji.

Nie umiałeś zrozumieć, jakim cudem znalazła się ona we wspomnieniu z biura, we wspomnieniu, które mógłbyś przysiąc było prawdziwe. We wspomnieniu, jakie miało stać się fundamentem twojego nowego życia. Nie rozumiałeś tego i to był jeden z powodów twojej niewiary we wszystko inne, co zobaczyłeś. Skoro asystentka – twoja mama, świetna kucharka Alicja, była jedynie wytworem twojej wyobraźni, przypadkowym elementem, jaki pojawił się nieproszony w sennej wizji, skoro jeden fragment mógł być wyjątkiem, to czy nie obalał on całej teorii, że to, co się zdarzyło to była prawda? Skoro Alicja nie miała prawa pojawić się w biurze, to może ten dzień nigdy się nie zdarzył?

Wiele razy wracałeś do tego snu, starając się przypomnieć sobie napis na kartce papieru, jednak wszystkie próby były bezowocne. Silne emocje zawsze zniekształcały obraz monitora komputera na tyle, że nie mogłeś odczytać e-maila, kartka papieru zawsze zaraz po wydrukowaniu zwijała się w rulon. Jedyne, co się zmieniało we śnie to nieistotne detale. Raz samochód, którym wracałeś do domu miał czarny kolor, innym razem był koloru zielonego. Raz wydawało ci się, że sąsiad posadził bratki, drugim razem w drodze do domu podziwiałeś cały ogród botaniczny. Było jednak kilka rzeczy, które się

nie zmieniały, i za każdym razem pamiętałeś je wręcz identycznie. Szklanka whisky, zawsze w ten sam sposób oszroniona, zapraszała cię do opróżnienia, a ty zawsze tym samym ruchem chwyciłeś ją i posłusznie wypijałeś zawartość. Zawsze kątem oka dostrzegałeś kwiaty stojące w kuchni, za każdym razem je lekceważyłeś, za każdym razem próbę powrócenia do wizji kończył zgrzyt, pisk, huk, stłumiony krzyk i wspomnienie bólu w brzuchu.

Ostatecznie pozwoliłeś wstrząsającej wizji powoli rozejść się w ciemnościach. Pozwoliłeś jej odlecieć w ciemną przestrzeń, by mogła tam pęknąć niczym jedna z baniek mydlanych, jakie twoje dzieci uwielbiały tworzyć niedzielnymi popołudniami. Wrażenia odleciały daleko, by ostatecznie głucho rozpaść się i zniknąć na zawsze.

Znowu zostałeś sam. Twoje myśli ochłoneły, przestały wnikać i analizować, i odczułeś przytłaczającą pustkę, tak jakby pękł otaczający cię klosz i wystawił cię na środek sceny, gdzie na widowni zasiadała jedynie ciemność. Panika zakradała się do twoich myśli. Spróbowałeś szarpnąć się i poszukać dłońmi kieszeni spodni, w których zwykle znajdował się telefon komórkowy, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Pytania i obawy zaczęły kłębić się w twojej głowie. „Gdzie ja jestem? Może mnie porwali? Ludzie? UFO? Co to ma znaczyć? Dlaczego nic nie widzę? Świat zniknął”. Przychodzące do głowy słowa i pytania z wolna przyhamowywały, tak jakby czas stracił na wartości. Poczułeś jak powoli tracisz zmysły. Tik, tak, ciężko było ci określić, jak długo zjeżdżałeś mroczną zjeżdżalnią. Trudno było powiedzieć, dokąd spadłeś. Tik, tak, czas płynął nieustannie, a wokół ciebie nic się nie zmieniało. Tik, tak wymierzały twoje wystraszone myśli niepotrafiące odnaleźć się w czasie, miejscu i sytuacji. Otaczająca cię czerń złośliwie milczała. Nie dała ci żadnej wskazówki. „Jak daleko przeleciałem tą zabójczą powietrzną rurą? Sto metrów, kilometr?”. Dookoła ciężko było rozpoznać jakiegokolwiek bryły, zarysy czy kontury, a co dopiero mówić o szczegółach. Otoczyła cię ciemność w prawdziwie mrocznym wydaniu. Ciemność w wersji dla dorosłych tak jednolita, prosta, nie-

przenikniona, że aż przerażająca niczym kadry z horroru. Powinna być dopuszczona do emisji po dwudziestej drugiej, z dodatkowym oznaczeniem czerwoną kropką.

„Teraz porozmawiamy o konkretach. Nad tobą ciemność, w tobie nic ciekawego – rozejrzyj się wokół Sherlocku” – rozbrzmiał znikąd donośny głos, przywracając cię do pionu.

Rozpoznałeś ten dźwięk, mówił do ciebie we śnie, który przed chwilą przeleciał ci przed oczami. Sam głos wydał ci się bardzo bliski, tak jakbyś znał go od lat, jakby rozbrzmiewał od wieków w twojej głowie. Dobra rada chwilowo wyzwoliła cię ze zdezorientowania i oddałeś się temu, co umiałeś w życiu robić najlepiej, kurczowo poddałeś się wnikliwej analizie otaczającego cię miejsca.

Spojrzałeś w kierunku, z którego twoim zdaniem przyleciałeś w to mroczne miejsce i dostrzegłeś, a może raczej wyczułeś w oddali migoczącą kulę. Jeszcze przed momentem byłbyś w stanie postawić życie na to, że nic tam nie było, że otaczała cię tylko i wyłącznie ciemność. Teraz z tej ciemności wyłoniła się kula. W ostatecznym rozrachunku nie umiałeś ocenić, czy ta kula była jedynie wytworem twojej wyobraźni, czy dzięki temu, że powoli przyzwyczajałeś się do nowego miejsca, zacząłeś dostrzegać w nim więcej szczegółów. Ostatecznie nie miało to jednak większego znaczenia.

Kula wypluwała ze swojego wnętrza wstążkowe promienie we wszystkie możliwe strony, jakby chciała się pozbyć ich jak najszybciej ze swojej powierzchni. Niektóre z promieni gasły tuż nad jej kopułą, przypominając iskry wylatujące z ogniska, inne szybko odlatywały głęboko w ciemność. Te naśladowały pędzące odrzutowce, zostawiając za sobą jaśniejącą smugę. Kula mimo to, że emanowała czymś w rodzaju energii, nie wydzielala ani krzty przyjemnego ciepła, nie biło też od niej chłodem – po prostu wisiała w przestrzeni. Trudno ci było dostrzec, w którym momencie promienie odrywały się od jej powłoki. Pojawiały się zupełnie niepostrzeżenie i tak samo niepostrzeżenie zaszywały się w otaczających was mrokach. Ostatecznie widok dopełniony aurą obo-

jętnego, nieskończenie powtarzającego się potężnego procesu robił na tobie piorunujące wrażenie. Nie wiedziałeś, z czym porównać obraz, którego stałeś się szczęśliwym widzem, nigdy w życiu nie widziałeś nic tak wyniosłego, nawet wyjazd do Egiptu na miesiąc miodowy z twoją żoną nie zapewnił ci takich atrakcji. Widok piramid, szalejącej burzy piaskowej, odczucie pożądania silniejszego niż pragnienie wody na czterdziestostopniowym upale miały się nijak do wiszącej kuli. Twój zachwyty nie wynikał z jej wielkości ani jasności, ale z wrażenia, że kula nic przed tobą nie ukrywa, że jest ona czystą energią, kwintesencją wszystkiego, samą w sobie odpowiedzią na wszystkie pytania.

Z błogiej obserwacji kuli wytrącił cię jeden z promieni lecący w twoim kierunku. Zbliżał się do ciebie z zatrważającą szybkością. Przecinał czerń niczym ognista strzała. Pędził niepoohamowanie przed siebie, nie zważając na otaczający go zagadkowy mrok i ciebie znajdującego się w jego okolicy. Zdałeś sobie sprawę, że wiązka przebije się przez wszystko byleby dotrzeć do celu lub uciec w przestrzeń jak najdalej.

Odległość, jaka dzieliła ciebie od przelatującej smugi była na tyle duża, że nie musiałeś bać się ewentualnego zderzenia i wszystkich nieznanymi płynących za tym konsekwencji i na tyle mała, że udało ci się wyczuć intencje promienia. Ciężko by było mówić o jego kształcie, trudno byłoby opisać go barwą, jednak nie miałeś wątpliwości, że to, czego doświadczyłeś to nie była halucynacja. Wydawało ci się, że obserwujesz czystą duszę. Z czasem zrozumiałeś, że to miejsce rządzi się swoimi własnymi prawami fizyki, prawem pamięci i prawem poznania, obie zasady opierały się na poczuciu jedności ze światem i innymi znajdującymi się w nim bytami i nie dało się ich obejść. Bliskość promieni powodowała, że ciemność niknęła i wypełniała się wspomnieniami. Gdy wstążka przelatywała obok ciebie, była więcej niż naga, ona była wyzwolona i obdarzała cię swoimi emocjami i swoim doświadczeniem.

Tak jak przejeżdżający papamobilem papież zostawia za sobą uczucie miłości, tak promyk zostawił za sobą charakterystyczny niewidzialny ślad. Tak jak radosna dziewczyna roztacza wokół siebie pozytywną

energię, tak i promień emanował kilkumetrowym wolno rozchodzącym się pasem sentymentalnych emocji – duchową szarfą przeznaczoną dla każdego, kogo napotka na swojej drodze. Promienie wydawały ci się żywe, ale i niematerialne, wydawały ci się ludzkie, pomimo to, że nie miały twarzy. W odróżnieniu od kontaktu ze zwykłym człowiekiem sprawiały wrażenie o wiele mniej zakłamanych, niż ludzie, których znałeś.

Rozchodząca się fala wzbudzała w tobie uczucie spokoju, malując w twojej duszy wizje pastelowych dni spędzonych na kocu w parku przy fontannie, z dala od odgłosów miasta. Drzewa, pomimo naporu trzydziestu paru stopni Celsjusza płynących z wysoka, stały dumnie, wsłuchując się w odgłos samej Matki Ziemi – dźwięk szumu trawy. Oczami wspomnień dostrzegłeś błękit nieba raz po raz zakłócony kłębkami chmury. Czułeś się szczęśliwy, kilka metrów od ciebie leżała twoja dziewczyna, dzieci były co najwyżej w planach. Uwielbiałeś spędzać tak letnie popołudnia, snując przy tym niezobowiązujące wizje przyszłości. W nozdrzach wirował zapach skoszonej trawy. Miałeś ochotę odlecieć wtedy do nieba, unieść się bliżej korony drzew. Dawno nie czułeś się tak dobrze.

Promień przelatywał na tyle daleko od ciebie, że gdy oddalił się, wizja sama się rozmyła i nie pozwoliła ci w sobie utonąć. Po cichu tego żałowałeś, miałeś ochotę dogonić uciekający promień, ale ten nie włókł się ospale, tylko gnał pod pełnymi żaglami do swojej własnej Ameryki. Miałeś ochotę zostawić ciemność za sobą i ruszyć z nim w nieznaną, ale coś cię hamowało.

Wydało ci się, że może być to kula. Nie mogłeś wiedzieć, że w tym świecie nie byłeś nikim na tyle istotnym, byś mógł zainteresować kulę albo kogokolwiek innego, hamowała cię zwyczajna ludzka tęsknota, która działała na ciebie jak prawo grawitacji działało na twój gruby brzuch na ziemi. Pełen niewiedzy spojrzełeś z wyrzutem na kulę, wisiała w powietrzu tak jak i ty, byliście jak dwie czereśnie w zawieszynie kisielu i syropu – jedynie boska siła łyżeczki byłaby w stanie was poru-

szyc. Z odległości, z jakiej ją obserwowałeś, kula wydawała się płonąca piłką do koszykówki. Hipotez miałeś wiele – wytwór twojej wyobraźni, wielka świecąca lampa skierowana na ciebie przez przesłuchujących cię terrorystów, obiekt powstały w wyniku działania silnych narkotyków, kosmiczne Słońce lub senna zjawia. Kula jednak była odporna na wszystkie hipotezy, przekleństwa, które posyłałeś w jej kierunku, wyzwiska i zniewagi, wisiała spokojnie po swojemu, roztaczając wokół siebie przyjemną aurę życia. Nie bił od niej żar, nie zmieniała się, jak dynamicznie potrafią się zmieniać obrazy w narkotykowej wizji, nie słyszałeś żadnych pytań od terrorystów, na które nie znałbyś odpowiedzi. Czułeś, że to nie jest Słońce, nie było widać przecież Ziemi i planet. Intuicja podpowiadała ci jednak, że to stamtąd przyleciałeś, ale ciężko było uwierzyć ci, żeby to fluorescencyjne jajo miało być Ziemią.

Kolejny oderwany promień od niezidentyfikowanego ciała niebieskiego zaczął się zbliżać w twoją stronę. Ten w odróżnieniu od poprzednika przemieszczał się zdecydowanie wolniej i bezspornie bardziej chaotycznie. Zakręcał, kreśląc spirale i wywijał serpentyny, niczym tańczący przed drzwiami pijany sąsiad, którego żona i tak nie wpuści do domu. Z pozoru konsekwentnie w jednym kierunku parł naprzód, jednak co kilka chwil odlatywał chybotliwie to w prawą, to w lewą stronę. Zupełnie jakby obijał się o drzewa na swojej podchmielonej drodze.

Uwielbiałeś patrzeć, jak twój sąsiad wpadał w cugle alkoholowego pędu. Zawsze ganiałeś go w myślach, śmiejąc się z niego, że jest żałośnie podatny na pokusy i upadł tak nisko. Gdy mijaleś go, wracając z pracy, wiedziałeś, że będziesz miał dobry dzień. Uspokajał twoje wyrzuty sumienia i zamiast zapalić w twojej głowie lampkę ostrzegawczą wręcz wyłączał ją, pozwalając ci sięgnąć po kieliszek. Myślałeś wtedy: „Daleko mi do takiego stanu”, ale w rzeczywistości różniło was tylko to, że ty piłeś w domu, a on w dzielnicowym barze.

Promień oddalał się od kuli, żeby za chwilę zatrzymać się i zbliżyć się do niej ponownie o kilka metrów. Brakowało tylko tego, żeby każdy taki wyczyn kwitował siarczystą kurwą dającą do zrozumienia

otoczeniu, że kto jak kto, ale on nagazowany nie jest i mimo wszelkich namacalnych pozorów bardzo mu się śpieszy, chociaż sam dobrze nie wie dokąd.

Smuga czmychnęła nieopodal ciebie, na tyle blisko, że wyczułeś jej złowrogie motywy. Śmignęła i zawisła w twojej okolicy, zatrzymując się na postój, jakby chciała dać sobie chwilę na wytchnienie – dać upust przepełnionemu pęcherzowi, wyrzygać się pod niewidzialnym drzewem lub zwyczajnie uwierzyć w cud, że jednak bardziej posuwa się naprzód, niż się cofa.

Smród strachu i wstydu, bijący od promienia w twoją stronę, był nie do zniesienia. Był tak namacalny, że przeniknął przez twoje całe astralne ciało. Zawładnął tobą i zatrzęsął jak galaretką. Patrząc na śmierdzącą smugę, poczułeś się, jakbyś nakrył swoją żonę na podjadaniu albo kolegę w pracy na podglądaniu swojej szefowej i wpuścił ich na kołowrotek dla chomika. Cuchną, starają się uciec przed twoim wzrokiem, biegną, ale stoją w miejscu. Najgorsze jest to, że biegną coraz szybciej i śmierdzą coraz mocniej, a ty nie wiesz, czy powinieneś odwrócić wzrok, czy postarać się wyjaśnić sytuację, której stałeś się świadkiem. Nienawidziłeś takich sytuacji. Będąc dzieckiem nakryłeś swojego ojca, jak złapał za tyłek panią sprzedającą warzywa w osiedlowym kramiku. Niby nic takiego nie zrobił, kobieta się niby oburzyła i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie spojrział wtedy na ciebie i nie zorientował się, że patrzysz. Jego wzrok przekonał cię momentalnie, że nie możesz nic powiedzieć matce, a ty zamiast zwyczajnie zapomnieć, to poczułeś się winny temu, że to zobaczyłeś. Poczułeś się winny za siebie, że tam stałeś i za niego, że nie szanuje swojej żony, za siebie, że jesteś jego synem i za niego, że w tamtej chwili o tobie zapomniał. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałeś, a cała sytuacja prześladowała cię niejednokrotnie w nocnych ciężkich snach. Mógł postarać się to wyjaśnić, ty mogłeś spróbować z nim porozmawiać, a wasza relacja potoczyłaby się inaczej. Przeszłość zatoczyłaby inne koło, ale to było tylko wspomnienie, nic więcej. Przeszłości przecież nie da się zmienić.

Poczucie porażki i wstydu promienia wiszącego obok ciebie przeszło cię, niczym zimny jesienny wiatr. Przed twoimi oczami rozpostarła się wizja ciemnego mroźnego parku. Drzewa tym razem nie stały już cierpliwie, ale uginały się pod naporem huraganu, ukazując swoją prawdziwą mroczną naturę. Ich gałęzie jak koślawe dłonie wiły się, przysłaniając brunatne niebo, a ty spieszyłeś się pomiędzy ich konarami na ostatni nocny autobus. Byłeś zmęczony i spóźniony, pełen niepewności i obaw. Mróz przeszywał twoje ciało, wiatr przenikał przez twoją cienką koszulę. Gdy wróciłeś w przyszłości do tej wizji, nie umiałeś jednoznacznie umiejscowić jej w czasie. Była zlepkiem wszystkich nieprzyjemnych uczuć, jakich doświadczyłeś na ziemi. Nie byłeś pewny, czy ten obraz kiedyś ci się przyśnił, czy może tak wyobrażałeś sobie samotność. Na podstawie tego przeżycia zrozumiałeś, że nie należy w pełni ufać temu, co widzisz i czego doświadczasz i gdzieś głęboko w sobie, chociaż nie chciałeś w to uwierzyć, czułeś, że coraz trudniej będzie ci odróżnić prawdę od fikcji, wspomnienie od wyobrażenia.

Promień spowodował, że obrzydzenie i strach opanowały twoją duszę, zaraził cię swoją chorobą. Przeniósł na ciebie swoje emocje i liczne obrazy zaczęły przesuwać ci się przed oczami, jakby zostały zaproszone do twojej głowy z jego syczącym wołaniem. Małe potknięcia i niepowodzenia materializowały się przed tobą, przywdziewając zielone barwy upokorzenia. Zobaczyłeś śmiejące się z ciebie niewyraźne twarze, wytykające cię palce przedszkolaków, zmoczone spodnie, twarz kobiety w sklepie, gdy ukradłeś zabawkę z wystawy.

– Zjeżdżaj stąd, popaprańcu! – zawyłeś z całej siły.

On cię jednak nie usłyszał, on i wszyscy pozostali nie mogli cię usłyszeć. Twój wyjący głos rozległ się tylko w twojej głowie, nie naruszając nietykalności eteru. Do twojego umysłu wtargnął obraz zwiniętej w rulon, zmoczonej rozlaną whisky kartki, niosąc ze sobą świeże, o wiele gorsze od wspomnień, wnioski.

– Nie chcę cię tutaj! – poczułeś, że tracisz kontrolę nad otaczającym cię światem, który eksplodował na twoich oczach.



Twój umysł poddany silnym emocjom w kontakcie z bardzo wylewnym ciałem obcym stracił nad sobą panowanie. Zaraz miałeś doświadczyć zabójczej mieszanki fantazji z twoimi wspomnieniami. Zaraz miałeś doświadczyć koszmaru.

Dość dawno, gdy starałeś się zaimponować samemu sobie i nie pozwolić tym samym zgasnąć ziarenkom ambicji tłącym się gdzieś na dnie w twoim ciele, sięgnąłeś po książkę opowiadającą o szkockim filozofie wyjaśniającym po ludzku pochodzenie aniołów. Tłumaczył on dość klarownie, że anioł to nic innego jak wytwór ludzkiej wyobraźni. Jest to wynik prostego zabiegu obcięcia skrzydeł od wielkiego ptaka i doklejenie ich do ramion i pleców biednego człowieka. Wizje, jakie na ciebie zesłał twój wystraszony umysł były tak samo zlepkiem lęków, marzeń i wspomnień. Wtedy jednak nie mogłeś jeszcze o tym wiedzieć, że były najprawdziwszym koszmarem.

\*\*\*

Senne koszmary mają to do siebie, że w swojej początkowej fazie starają się przekonać nieszczęśnika do tego, że wcale nie są złudą, ale najprawdziwszą rzeczywistością. Próbuje zamącić czujność obrazami, które są jak najbardziej prawdopodobne i robią to tylko po to, żeby ten prawidłowy, właściwy przerażający przekaz zebrał na sile. Dostrzegłeś tę analogię dość szybko, a wiedza o niej wcale nie dała ci spokoju, ale sprawiała, że bardzo niepewnie podchodziłeś do miłych doznań, bojąc się, że wyłoni się z drugiego planu dziecięcy potwór.

Gdy ujrzałeś małego chłopca w drewnianym domu uderzyła cię piorunująca myśl – „Dlaczego ta? Dlaczego odkopałeś tak stare wspomnienie?”. Zrzuciłeś to na złośliwość zgniłego promienia, chociaż przesywała cię paniczna myśl, że nowy, obcy świat chciał zaprezentować ci swoje granice, chciał pokazać ci jak daleko jest w stanie sięgnąć pamięcią w przeszłość i tym samym ostrzec cię, że nie wszystko, co skrzętnie zakopywałeś jest nie do odtworzenia. Umysł odpowiedział ci najstarsze wspomnienie, jakie pamiętałeś, jakby chciał powiedzieć – „Od tego